

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Wacław Gąsiorowski**

# **Pigularz**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Buda

Warszawa udawała się na spoczynek. Wielki zegar kolejowy ponurym basem obwieścił godzinę dziesiątą. Ulice wyludniały się stopniowo, sklepy zamykano z łoskotem, dokoła zalegała pustka i cisza przerywana dalekim echem turkotu nieuchwytnego szmeru.

Na rozległym placu śródmieścia, w trzypiętrowej, narożnej kamienicy czuwała jeszcze pierwszorzędna apteka, bijąc potokami białego światła rozplywającego się w cieniach ponurej nocy marcowej.

W aptece kończono dzienne obrachunki. Pan Edward Gędźba, współwłaściciel firmy „Gędźba i Miłecki”, stał pochylony nad szufladą kasową i sapiąc przeraźliwie, rachował pieniądze; starszy pomocnik, Werda, dodawał książkę odręcznej sprzedaży, z materialni dochodził szept prowadzonej rozmowy; służący Józef, zamiatał podłogę.

– Proszę! – zaczął po chwili pan Gędźba, typując do szuflady drobne pieniądze do zmiany i odkładając na bok sporą paczkę banknotów.

– Receptura ośmnaście kopiejek dziesięć, odręczna dwadzieścia czterdzieści, wody pięć – dyktował Werda – razem czterdzieści trzy pięćdziesiąt.

– Hm! – mruknął pryncypał – mało, panowie, zapisujecie... z groszówek blisko piętnaście rubli!...

Pomocnik wzruszył ramionami i wyszedł w głąb aptecznych pokoi.

Gędźba pieniądze do sąsiedniego gabinetu odniósł, do kasy schował i obejrzawszy nie wykupione lekarstwa, zakomenderował w stronę laboratorium: – Zamykać!

Dwu zaspanych służących zaczęło powoli opuszczać karbowane żaluzje, w materialni rozległy się głębokie westchnienia.

Pryncypał atoli miał jeszcze zamiar dłuższą chwilę zabawić, bo rozsiadł się na czerwonej, aksamitnej kanapce pod oknem i zawołał cichym, przeciągłym głosem:

– Panie Władysławie!

Z głębi lokalu apteki wybiegł siedemnastoletni młodzieniec i rumieniąc się z lekka, obrzucił pytającym spojrzeniem swego chlebobawcę.

– Panie Władysławie! – powtórzył cicho Gędźba, wpadając w ton słodkiej przyjaźni. – Co pan robi?...

– Ja... panie?! – odpowiedział z cicha młodzieniec. – Doprawdy nie wiem!...

– Rozumiem. Jest pan pierwszy dzień w aptece! Otóż muszę pana objaśnić. W aptece jest robota zawsze: gdy jej nie ma, trzeba umieć ją znaleźć. Jeszcze pan nic nie umie, należy więc ciągle przyglądać się i uważać. Tymczasem trzeba być posłusznym chłopaczkim, grzeci-

nym. Trzeba wstawać rano, nie tak bardzo, o siódmej, i przede wszystkim zetrzeć kurze w aptecę, stoły, szuflady, łoże i trzy dolne półki dokoła. W sobotę, raz na tydzień, przychodzi kobieta, która obciera całą aptekę. Panu Władysławowi może się to nie podoba... ale jest to zwyczaj przyjęty od dawna. Papierosów palić nie wolno. Raz w tygodniu, od południa, we środy, będzie miał pan wychodnię. Pomocnicy dostają pieniądze na życie, pan jednak będzie miał obiady i śniadania; na bułki otrzyma pan sześćdziesiąt kopiejek miesięcznie. Mam nadzieję, że pan...

– Będę się starał zasłużyć sobie na względy – przerwał rezolutnie Władysław.

– Tak sędzę. Niech pan przy tym pamięta, że dawniej inną trzeba było przechodzić szkołę!...

Za drzwiami materialni rozległ się stłumiony chichot. Gędźba brwi zmarszczył i ciągnął dalej:

– Kiedy ja byłem uczniem u Wankego, mówiono mi „ty”! Pan Władysław zrozumiał? „Ty” mnie mówiono! Musiałem nadto czyścić wszystkie naczynia, szpadle, menzurki, a nawet chodzić w piątki z panią Wanke do miasta. Czy pan Władysław rozumie? Twarda była szkoła, ale dobra! Dziś czasy się zmieniły... byle smarkacz rolę pana odgrywa! Będąc uczniem, wstawałem o szóstej, dyżurowałem przez całe trzy lata, w nocy biegałem po piwnicach i górach, parobek był wobec mnie osobą! Rygor zawsze ogromny... za uszy się nieraz oberwało! Czy pan Władysław rozumie?...

Zapytany kiwnął machinalnie głową.

– To bardzo dobrze! Proszę to, co mówiłem dobrze sobie zapamiętać!

Gędźba wstał z kanapki, odwrócił się plecami do młodzieńca, skinął na służącego, palto wdział i trzaskając drzwiami apteki, wrzasnął przeraźliwie:

– Dobranoc panom!

– Dobranoc! – odpowiedziały chórem głosy z materialni.

Apteka była zamknięta.

Pan Władysław spojrział dziwnie za wychodzącym, pryncypałem, skłonił się jego plecom i ocierając pot z czoła, wszedł do materialni.

Na jego widok gwar i hałas powstał nie do opisania.

– Patrzcie, jaki *puer*<sup>1</sup> czerwony! – wołał drugi pomocnik, Stefan Werbel, targając z lekka rękaw Władysława.

– To ci mu Gędzius wypalił! – chichotał starszy uczeń, Smaczyński.

– No; no! Dajcie pokój! Małemu to dobrze robi, nosa mu utarli, nie nie szkodzi! – mitygował Werda.

– Jakby młodego pana nie trzeba było nakręcić! – mruczał Józef, służący, rozstawiając na środku materialni żelazne łóżko dla dyżurnego.

Władysław, milcząc, usiadł przy małym stolczku obok szafy z flaszkami.

– Mieliśmy *puera* warchoła, teraz będziemy mieli melancholika – zaczął Werbel.

– Niech go starzy wezmą w obroty, to się w mig melancholia ulotni – dorzucił Smaczyński.

– Przepraszam panów – spytał nieśmiało Władysław – czy w aptecę nie ma jakiej dzisiejszej gazety?...

– Gazety! Cha! Cha! – wybuchnęli zebrani.

– Panowie! *Puer* ma fioła!... Proponuję *aqua sedativa* na głowę!

– Daj pokój, Michałku! Komuś się zdaje, że będzie się zabawiał lekturą!... – cedził pogardliwie Werbel.

– Sędzę, że od jutra rana zaprenumeruje się kilka pism dla łaskawego użytku!... Naturalnie! Taki pan Władysław! – drażnił Smaczyński. – Boli pana główka? Pewno boli?...

---

<sup>1</sup> *P u e r* (łac.) – chłopiec.

Do rozmowy znów wtrącił się Józef:

– Et, proszę panów, to nic, ale z tym panem to nie tylko łóżko, pościel i rzeczy przyjechały, ale jeszcze szafa i całe dwie skrzynie książek; Aż niepodobna! Gdzie się to podzieje?.., Stoją na środku pokoju u panów!...

– Co?! – wykrzyknął Werda, marszcząc brwi, i skierował się przez laboratorium do sypialni pomocników. Za Werdą poszli Werbel i Smaczyński, za nimi Władysław i Józef.

Na środku niewielkiej izdebki, zastawionej trzema łózkami i kilku kufkami, piętrzyły się rzeczy Władysława z niewielką szafką na przedzie.

– Któż był taki mądry? – irytował się Werda. – Wynieść mi zaraz stąd! W naszym mieszkaniu nie ma miejsca na takie graty! Szafę i skrzynię zabrać na strych, a łóżko także!...

– Za pozwoleniem! – protestował poruszony Władysław. – Łóżko będzie mi potrzebne!...

– Na co? Przecież pan będzie spał w pudle!...

– Cha! Cha! Do pudła... do pudła... –skrzeczał Smaczyński.

– Ależ, panowie! Mnie pan Miłecki właśnie... mówi!...

– Co pan Miłecki! Ja panu pokażę. Słuchać! – wrzasnął zaperzony Werda, wymachując rękoma. – Józef, Wojciech! Wyrzucić mi w tej chwili!...

– Panie – prosił Władysław – szkoda! Przecież książki wiele miejsca nie zabiorą, przydać się mogą i panom! Jest tam biblioteka po ojcu... chętnie pożyczę...

– Macie! Smarkacz pan jesteście! Będziesz starszych rozumu uczył!...

– Zostawcie! – wtrącił się Werbel: – Nie irytujcie się! *Puer* ma przewrócone w głowie! Wyniesie się to wszystko do suszarni, i po hałasie!...

Ze stołu w laboratorium zwał się drugi służący, Wojciech, i klnąc, jał razem z Józefem wynosić szafę i skrzynie na strych, Panowie farmaceuci powrócili wzburzeni do materialni i zaczęli raczyć się piwem. Władysław blady, drżący stał wsparty pod ścianą w sypialni. W głowie mu się mąciło, nie mógł zebrać myśli. Za cóż go sponiewierano? Czym zasłużył sobie na takie obojętne? Wszak dopiero dwie godziny jest w aptece...

Mała, kopcząca lampka rzucała niepewne światło. Stos rzeczy Władysława zmniejszał się stopniowo; została w końcu pościel i podłużny kuferek.

– To weź do materialni – dyrygował Józef, potrącając nogą tłumok – a kuferek stanie w laboratorium pod stołem!

– Gdzie więc będę spał? – zapytał Władysław niepewnym głosem.

– Gdzie? Jak przyjdzie czas, to się pan dowie! – odparł hardo Józef.

– Tylko bardzo proszę grzeczniej odpowiadać! – zaczął ostro Władysław, hamując wybuch gniewu.

– O! Patrzcie!... – odrzekł pogardliwie służący. – Jeszcze pana tu nie było, a ja już byłem! Grzeczniej! Pójdiesz pan do pudła, i już!...

– Słuchaj ty... bo...

– Ja się tam gróźb pańskich nie boję! Jeszcze! Powiedział panu pan Werda, że pan do pudła pójdzie!

– Chodź, głupi – przerwał Wojciech – co będziesz słuchać!

Władysław w bezsilnym uniesieniu zagryzł do krwi wargi.

Ładnie go tu przyjmowano! Gdybyż choć jedno dobre słowo usłyszał! Więc całe trzy lata praktyki?!... Nie! On nie zniesie – rzuci wszystko i pójdzie sobie! Pójdzie? Gdzie? Zabrzmiało w uszach pytanie i otrzeźwiło go. Tak, on tu zostać musi, bo inaczej być nie może...

Potok nasuwających się Władysławowi myśli przerwało wejście Smaczyńskiego i Werdy.

– *Puer*, do pudła – zaskrzeczał pierwszy.

– Proszę stąd! – potwierdził Werda. – Tu nie miejsce dla pana!...

– Panowie – próbował perswadować Władysław – pójdę, ale cóż ja wam...

– No, no! Bez romansów... i spać – przerwał starszy pomocnik – a o siódmej proszę być na nogach.

Władysław poszedł w milczeniu do materialni, ścigany śmiechem Smaczyńskiego.

Werbel, wpółtrozebrany, leżał na łóżku dyżurnego, pałac papierosa. Wojciech znosił pościel Władysława. Wreszcie zbliżył się do stojącej pod oknem wielkiej, czworokątnej komody i rzekł, spoglądając na nowicjusza:

– To jest pańskie pudło...

Władysław po raz pierwszy w życiu zapoznawał się z dziwacznej konstrukcji łóżkiem.

Była to wielka, czworokątna skrzynia, której przednia ściana wysuwała się i łącznie z pustym wnętrzem komody stanowiła rodzaj szlabana na ziemi, deski rozłożonej na podłodze. Chcąc się położyć w tym zaimprovizowanym łóżku, należało najpierw stanąć na poduszkach, a następnie uchwyciwszy się krawędzi skrzyni, nogi powoli posuwać w kierunku pudła. Wstawanie było mniej skomplikowane, bo polegało tylko na umiejętności chodzenia na czworakach.

Władysław obojętnie patrzył na swoje pudło. Zaciął się w sobie i postanowił przemóc wszystko.

Było już późno. Czas by się było położyć. Nowicjusz próżno szukał, gdzie by ubranie ulokować. Dwa krzeselka zajął Werbel na swoją garderobę. Wierzch zaś pudła był zastawiony pustymi słojami i naczyniami aptecznymi.

Wtem z materialni rozległ się krótki, nerwowy odgłos dzwonka elektrycznego.

– Tyran! – zawołał Werbel. – Otwieraj!

Zaspany Józef po małej chwili wysunął się spoza szaf ze szkłem i poszedł otworzyć.

We drzwiach, prowadzących do apteki, ukazał się młody człowiek, w kapeluszu na bakier, z twarzą rozpromienioną.

– Jak się masz, Kulasie! – zaczął przybyły krzykliwie.

– Jak się masz! Wyczekiwałem z niecierpliwością. Spać mi się chce, a ty marudzisz!... Przecież miałeś mnie zastąpić?...

– Więc co? – odparł zagadnięty. – Dziś moja wychodnia, mogłem i wcale na noc nie wrócić!... Złaż z łóżka, niech cię... podyżuruję!... Ale!... To macie nowego *puera*!... Dzień dobry panu! Moje uszanowanie panu *puerowi*!...

Władysław się skłonił z daleka.

Werbel zbierał ubranie.

– Cóżeś dziś porabiał? – zapytał.

– Co?! Fiu! Używałem jak pies w studni. Najpierw spotkałem się z Jankiem Kręckim w cukierni, później byłem na „Nitouche”<sup>2</sup>. Powiadają ci, Kirszenmanka śpiewa! No, paradne! Słowo honoru! Znakomita!... Zaraz, czekaj!... Aha!... „Był sobie dragon, tęgi żołnierz!” Floridor jest niezrównany! Po teatrze poszliśmy na piwo do Czarnej Rózi! Janek mnie namawiał, żebym jeszcze z nim szedł... lecz dałem pokój... floty braknie... koniec miesiąca!... Wstawiliśmy po cztery przepalanki, trzy szkła piwa... kawałek chabaniny w buzię i... jestem!... Tylko... na „Nitouche” idź, idź koniecznie!

– Pójdę, pójdę... naturalnie!

– A cóż Zimorodek i Grzebała?... Śpią?...

– Pewnie!... Czas i na mnie! Dobranoc ci!... Jutro idę do babki...

– A idź... do dziadka! Żebyś pan zdrow był...

Werbel, utykając z lekka na lewą nogę, powłókł się do sypialni.

Przybyły mierzył jakiś czas krokami wąską materialnie, wreszcie, spojrzawszy na stojącego nieruchomie Władysława, stanął przed nim i zapytał z komicznym uśmiechem:

– Pan *puer*? Z kimże mam rozkosz?

– Władysław Turkowski. – odrzekł nowicjusz,

---

<sup>2</sup> „Nitouche” (właściwie: *Mam’zelle Nitouche*) – tytuł popularnej niegdyś francuskiej operetki, której twórcami byli kompozytor Hervé (1825 – 1892) oraz dramatopisarze: Henri Meilhac (1831 – 1897) i Arthur Millaud (1844 – 1892).

– Kazimierz Pracki!... Do usług! Bardzo mi przyjemnie.

Władysław patrzył apatycznie na wielki, podłużny napis na porcelanowej tabliczce.

– No? – począł znów Pracki. – Jesteśmy skwaszeni? Bajki, kolego! Nie podoba się oficyna? Czy pan *puer* mówi, czy nie mówi? Może papierosika?... Palicie?

Zasypany pytaniami młodzieniec zrazu zmarszczył się, lecz spojrzawszy na otwartą, wesołą twarz Prackiego, odpowiedział z cicha:

– Ano pałę!...

– Więc brać. Proszę! Siadaj no pan! Możesz śpiący?...

– Nie, nie bardzo...

– Widział pan Kirszenmankę?

– Nie widziałem!

– To pan żałuj! Cukierek, nie dziewczyna! Ciarki aż przechodzą!... W gardle mi zaschło... Napiłbym się czego! A pan?...

– Z ochotą – odrzekł Władysław, czując budzącą się w nim sympatię do Prackiego.

A Pracki wstał, przyniósł z podręcznej lodowni syfon wody sodowej, naczynie porcelanowe z apteki i wysuwając szufladkę z górnej kondygnacji szaf materialni, zapraszał Władysława:

– Teraz jazda, panie! Szukasz szklanki? Naucz się: przyzwoity farmak pije ze słoika... O! W naczyniu jest *syrupus rubi idei*... czyli „malinowy sos”, a tu, w szufladce, są migdały do fabrykowania emulsji i odżywiania pigularzy! Pan byś chciał może skórki panińskiej!... Niestety, starzy *pasta althaeae* zamykają na klucz w szafce, w gabinecie... Z rzeczy jadalnych... pozostają tylko *rotuale menthae piperitae*, czyli miętowe pastylki... zresztą, jeżeli kto lubi suszone maliny, *pasta pectoralis*, rzecz nie tylko dobra do kaszlu... no i... cukier.

Władysław z dzieciinną ochotą raczył się wodą z sokiem, ćmił papierosy i z zachwytem spoglądał na Prackiego. Ten ostatni nie okazywał mu niechęci ani swej wyższości – przeciwnie, w jego szorstkim obejściu było coś przyjaznego, życzliwego. Nowicjusz przy tym czuł potrzebę wygadania się, podzielenia z kimkolwiek wrażeń. Pracki zaś, z natury rozmowny, był dziś w wyśmienitym humorze.

– Więc, kochany panie Władysławie... chcesz zostać aptekarzem... Idea głupia... myśl marna!

– Dlaczegoż to?...

– Dlaczego? Bo ojciec miał trzech synów: dwóch było mądrych, a trzeci... farmak! Bo ani chleba, ani swobody, ani niezależności mieć nie będziesz, bo cię buda zje... Chyba, że masz grosze, oficynę sobie kupisz albo ożenisz się z jaką bogatą szewcówną...

– Za pozwoleniem! – zaproponował Władysław. – Farmacja nie jest gorszą od innych...

– Taak! Hm! A coś pan dotąd porabiał?...

– Byłem w gimnazjum. Sześć klas prawie przebrnąłem, w końcu sprzykrzyła mi się ta walka. Książki nie było za co kupić, na ubranie, na wpis nigdy nie starczyło... pozostawały korepetycje. Ale sztubakom płacą marnie! Miałem trzy godziny dziennie po trzy ruble miesięcznie. Zwariować chyba. Śnieg, deszcz... wal na piechotę z jednego końca miasta na drugi... Wprawdzie tu mi płacić nie będą, ale zawsze życie jest, dach jest... wuj coś dołoży i przynajmniej nie ma tej gorączki! Rzuciłem szóstą klasę, i koniec. Trzy lata to nie wiek.

– Opowiadanie! Przede wszystkim zrobiłeś pan wielkie głupstwo, żeś do szóstej klasy dosiedział.

– A to dlaczego?! – pyta zdziwiony Władysław.

– Bo zmarnowałeś dwa lata czasu na próżno. Gdybyś wyszedł z czwartej, już byś kończył praktykę, a tak...

– Być może. Jednak wiadomości zdobyte mogą się przydać...



– Na co? Kto tu będzie cenił... pańską szóstą klasę! Pan się naucz infusa nastawiać, dekokty gotować, pigułki kręcić, proszki ważyć... To zgoda. Ale w aptece!... Szkoda dwu lat! Byłbyś młodszym i potulniejszym...

– Stało się! Cofnąć się już nie mogę... Chociaż, powiem szczerze, przyjęcie, jakiego doznałem dzisiaj ze strony kolegów pańskich... No, bo że Gędźba w rezultacie paternoster mi wypalił, pewno taki zwyczaj, lecz ci panowie nie wiem...

– Cha! Cha! Rozumiem!...

– Jakieś przedrzeźnianie nazywanie *puerem*!... Zresztą mniejsza o nazwę... ale przecież nie mieli racji urządzać sobie drwinek...

– Bajki, kochany panie! Trzeba ich znać. Zimorodek albo Werda jest to stary pomagier... Suchotnik zdeklarowany, był na drugim kursie i obciął się... musi zdawać drugi raz! Raptus przy tym i narwaniec. Ten, co z panem siedział, Kulas, też chorowity, przejęty urodzeniem swojej babki, powłoczy jedną nogą, głowę ma tępą, byki strzela i wiecznie zły na siebie i na wszystkich. A Grzebała Smaczyński to taki sam *puer* jak i pan, tylko że praktykę kończy, więc cieszy się, że ma już nad kim przewodzić... Tu, panie, każdy ma swego zajączka! I pan go będziesz miał, tylko pan trochę posiedzisz... A przecież i ja go mam także... Ogromnie lubię niewiasty! Powiadam panu, jak nieraz wejdzie jaka przystojna do apteki, to mnie jakby kto w gębę dał... po prostu mnie dławi!... Z tym wszystkim Kirszenmanka jest ogromnie fajna dziewczyna.

– A panowie Gędźba i Miłecki?

– Bo ja wiem! Obaj grzeczni, uprzejmi... ale niech im się co nie podoba!! Ho, ho! Groszoby zwyczajne! Miłecki ożenił się z bogatą mydlarką, a Gędźba pożyczył pieniędzy i też kroi na posag. Młodzi są, ale tacy sami jak starzy! Naharowali się po kondycjach, biedy najedli, a dziś... zapomniał wół, jak cielęciami był... gnębią drugich, obawiając się, żeby ich pracującym czasem się lepiej nie działo! Płacą marnie! Tacy oni wszyscy. Póki jest pomocnikiem, prowizorem, choć do rany przyłoż, ale gdy pryncypałem zostaje, już do góry nosa zadziera. Taki Kreutler na praktyce z Werdą był, skończył kursa, budę od teścia dostał... i już bez kija nie przystępuj!... A co się dawniej na Wankego nawyrzekał!...

– Niewesołe stosunki. Trudno... jakoś się poradzi... byleby mnie panowie koledzy żyć dali. Pan rozumie, do lekceważenia nie przywykłem, a bieda niejednego mnie nauczyła... Chciałbym w zgodzie...

– Śmieję się pan z tego! Trzymać się ostro, bardzo sobie po nosie nie dać jeździć, bo cię zmarnują od razu. Z początku ze wszystkimi z daleka. Werdy się strzec, bo postrzeleniec, i jak mu co przyjdzie do głowy, to z gębą do starych leci na skargę! Lis! Ho! Ho! Wiecznie opalizuje, niby z kolegami jest dobrze, ale umie na łapkach skakać. Rób pan swoje, i już!

– Ba! Gdybym wiedział, co robić!...

– Pokaż panu! Nie bój się! Każdy będzie cię uczył na gwałt... żeby na ciebie zwalić robotę... Lepiej sprytnego nie udawać, ostrzegam!

– Gędźba zabronił mi palić!

– Trzeba mu było powiedzieć, żeby przede wszystkim nie pozwolił swoim pracującym chodzić w dziurawych butach. Zawracanie głowy! Bądź pan spokojny, nikt się tu pańską cnotą opiekować nie będzie, byłeś fasunki zrobił, każdego po kolei wyręczył i jak wróbel na nici skakał...

Pracki ziewnął i spojrzął na zegarek.

– Pierwsza! Czas spać! Żeby tylko nie dzwoni! Ale ta... Kirszenmanka!...

– Przepraszam pana... (o tu zrobić z drobiazgami? Przecież szcotka do włosów, grzebień, a nie ma gdzie ulokować...

– Jak to: nie ma gdzie? Wybierz pan sobie po prostu szufladę którą, i basta. O, patrz pan, na przykład tę, *cortex frangulae* albo *herba herniariae*... To już taki zwyczaj. Ja, na przykład, papierosy mam zawsze w *semen lini*, a przybory toaletowe we *flores chamomillae vulgaris*.

Nie masz się pan czego dziwić – mówił dalej Pracki, rozbierając się powoli – apteka ma to do siebie, że najniewinniejszy środek, przyniesiony do niej w płachcie przez babę czy chłopca, zatracą swą prostą, wyraźną nazwę i nabiera szumnego tytułu... więc cukier nazywa się *saccharum album* tenże cukier rozpuszczony w wodzie *syrupus simplex*, najpodlejszy smalec to *adeps suillus*, a stara oliwa to *oleum olivarum provinciale*. Trudno mi tu wszystko wyliczyć, nauczysz się pan z czasem. Wszystko blaga, i nic więcej!...

– Blaga?!

– Ma się rozumieć! Jak lekarz zapisze takiemu gościowi flaszeczkę wody z syropem! odrobinę kwasu i zaleci mu pić łyżkę co godzinę, to biedakowi Bóg wie co się zdaje; jak zobaczy sygnaturę, kapsel papierowy i odrobinę łaciny, to już mu lepiej. A gdyby mu ten sam lekarz powiedział na gębę: „Weź acan trochę wody i trochę syropu z cytryną i pij sobie, ile się zmieści”, toby pacjenta utracił. Co tu długo gadać... blaga! Fabrykują niby za granicą różne nowe alkaloidy i środki, ale to wszystko licha warte. Rok, dwa, trzy lata w modzie, a później raptem wychodzi z użycia!... Tak, panie, kto się nowymi środkami chce leczyć, niech się spieszy... bo później... przestają pomagać. Jest naturalnie dwadzieścia, trzydzieści środków prastarych, które są alfa i omega farmacji z medycyna razem, a zresztą wszystko mucha! Dostać tego będzie! Gadu, gadu i człek się nie wyśpi!

W kilka chwil później Pracki leżał w łóżku, a Władysław, przewyciężając wstręt, wgramolił się do pudła.

Cisza zaległa aptekę. Drgający płomień gazowy rzucał niepewne, przyćmione światło na materialnię, wytwarzając duszące gorąco, spotęgowane wyziewami z lekarstw.

Władysław kręcił się niespokojnie na posłaniu. Powietrze apteczne buchało nań ze wszystkich stron, nowość otoczenia denerwowała, potok myśli snu pozbawiał.

Więc był nareszcie w aptece! Nareszcie – bo wszak tyle trzeba było starań, tyle wysiłków, tyle protekcji, aby się dostać na praktykę – i na praktykę w Warszawie. Przecież kuzynek daleki, Strzelecki, uważał to za niebywale szczęście. On wszak całe trzy lata siedzieć musiał w Mszczonowie... a Władysław od razu się dostał, i do znanej firmy „Gędźba i Milecki”! Stało się wszystko tak prędko. Tydzień, i już papiery z gimnazjum odebrał, mundurek zrzucił i w aptecę zamieszkał.

Czy był zadowolonym? Et! Nie chciał się zastanawiać. Pracki może się myli, a i ci się zmienia. Taki dobry kawałek chleba jak każdy inny. Uniwersytet skończy, może się magistrować i stanąć nawet wyżej od niejednego z kolegów.

Władysławowi stanęła przed oczyma matka. Daleko mu do niej! Wyjechała zupełnie z Warszawy, bo musiała: interesa się pokrzyżowały, więc u córki zamieszkała. Nie widział jej Władysław kawał czasu. Wuj się teraz nim opiekował. Dobry, zacny, ale sam w tarapatach, dzieci ma kilkoro – ciężko mu. Co tam! Skończyły się kłopoty. Już go nikt po kilka razy dziennie o zapłatę wpisu atakować nie będzie! Dopiero się Hela Walkiewicz zdziwi, gdy się dowie, że jej adorator został farmaceutą.

Trzeba będzie do nich pójść kiedy. Śliczna dziewczeczka. Zna ją od maleńkiego – przecież dc jednej szkoły uczęszczali, potem widywali się na tańcach. Ach! Dobrze to były czasy! Miał wówczas, zdaje się, trzynaście lat – Hela miała dwanaście – a tak mu już serce biło, gdy z nią tańczył! Władysław ładniejszej nie znał. Oczy piwne, duże, głębokie, cera smagła, silna brunetka... a rzęsy długie... niby firanki. Pójdzie Władysław! A jeżeli się powiedzą, to chyba tylko Hela... On ją kocha! Ona może o tym nie wie! Ej, a może... Na tańcach wszystkie kontredanse i lansjerz tańczyli zawsze tylko ze sobą. Farmaceuta! Wprawdzie bardzo złośliwie odzywają się o farmaceutach! Władysław pamięta – ten, na przykład, aptekarz z „Domu otwartego”<sup>3</sup>... Cały teatr się trząsał ze śmiechu! Ale dlaczegoż on ma się stać karykaturą? Przeciwnie, będzie czytał, pracował nad sobą, a już na magistra wyjść musi. Poza tym aptekarstwo

---

<sup>3</sup> „Dom otwarty” – tytuł znanej sztuki Michała Bałuckiego (1837 – 1901) – wybitnego komediopisarza polskiego.

należy do zajęć przyjemnych! Ciągłe chemia! Tyle dziwacznych pudełek, flaszeczek... W aptekach przecież i perfumy mają. I różnie bardzo zapatrują się ludzie. Ciocia Kamila oto zapewniała Władysława, że aptekarz to nawet mądrzejszy od doktora!

Władysław przymrużał z wolna oczy i zaczynał drzemać, gdy posłyszał przytłumiony głos Prackiego:

– Panie Władysławie! Panie Władysławie! Czy pan śpi?! – wołał pomocnik.

– Nie!... Nie śpię!

– Kiedy pan będzie miał wychodnie?

– We środy!...

– To pilnuj pan afisza i idź pan zobaczyć Kirszenmankę, jest czarująca!...

–Dobrze... panie!

Pracki przewrócił się na drugi bok i zasnął. Władysław w dalszym ciągu czuwał, w półsen-ny i rozmarzony.

I widział się wychodzącego stopniowo na magistra i właściciela ogromnej apteki. Otaczał go szacunek i uznanie. Był uczonym i bogatym. Tuż, tuż przy nim stała ona – Hela, piękna i uśmiechająca się. On dopomagał rodzeństwu – niedostatek zniknął... Wyjeżdżają z nią, z Helą, za granicę... podróżują... szczęśliwi, weseli – i tak płyną... płyną... nieprzerwanie dni pogodne, jasne, promienne... ma... ma wszystko, co chce, czego dusza zapagnie...

Władysław w sennym upojeniu otworzył z lekka oczy, spojrzał w górę... i drgnął – na skraju pudła wysokie, szklane słoje raziły go swoimi napisami.

*Kali chloricum! Pulvis pediculorum! Magnesia usta... Calcaria... carbonica!* – wołały słoje.

Władysław głowę odwrócił, powieki przymknął i poddając się ogarniającemu go znużeniu, powtarzał automatycznie: *Kali chloricum... pulvis pediculorum, magnesia usta... calcaria... carbonica...*

Okolo godziny szóstej rano już w aptecę Gędźby i Miłeckiego rozległ się przeraźliwie natarczywy głos dzwonka przy drzwiach wchodowych. Zwlókł się leniwie służący z posłania, drzwi otworzył, zbudził Prackiego i w kilka chwil później do uszu wpółdrzemającego w szlabanie Władysława doszły dźwięki następującej rozmowy:

– Cóż to?! Recepta! Tak rano?!

– Ano, zrobiło się naszej pani gorzej, całą noc biegaliśmy po doktorach i nareszcie się jeden zjawił... Czy to prędko będzie?..

– Prędko, prędko! Trzeba gotować! Za pół godziny albo i dłużej!... Licho nadało! Może panienka przyjdzie później!

– Ale gdzie tam! Poczekać muszę!... Wyglądają lekarstwa jak zbawienia... choć nasza pani kiepska taka... że jej by księdza lepiej...

– Tyran! Józef! Cóż, u stu diabłów, rozwaliłeś się?! Wylaż! Maszynkę zapal i przynieś infuzorkę!... A i garnek z laboratorium, ten na lewo, pod oknem, z półki... wiesz *infusum sen-nae compositum*.

– Co nie mam wiedzieć! Jenfużum... to się wie!

Rozmowa na chwilę ucichła, w laboratorium rozległ się syk gotującej się wody, do apteki znów ktoś zadzwonił.

– Proszę rumianku za sześć, olejku za dziesięć i maści śmietankowej za trzy!

– Maści nie ma za trzy, tylko za sześć... Tu nie... Koziegłowy!

– Jakie tam głowy, nie wiem!... Niech będzie za sześć!

– A nie możecie to później przychodzić... skoro świt już po rumianek! Gwałt taki?!...

– O, już by też pan japykarz nie wydziwiał! Żeby to tak pana kolka sparła jak mojego... toby pan chyba pół aptyki zjadł!...

Znów cisza i znów później trzaśnięcie drzwiami, znów dzwonek – i tak coraz częściej, częściej.

W aptece zaczynał się ruch. Żaluzje skrecono. Władysław podniósł się z wolna z posłania i zaczął się ubierać. Pracki chodził, biegał i kłął niespodziewany ruch, który mu dotąd ani umyć się, ani dokończyć rannej toalety nie pozwalał.

Młody praktykant tymczasem, idąc za dorywczymi wskazówkami Prackiego, wycierał kuzie apteczne. Przykro mu było! Po prostu Władysław wstydził się, wstydził nie tej brudnej ścierki, nie złośliwych uśmiezków poroziadanych na kanapkach sług czekających na lekarstwo, ale wstydził się... tej podłej roboty, jaką mu powierzono. I pytał samego siebie: czyż w istocie do pracy pożyteczniejszej, wymagającej większej inteligencji jest jeszcze niezdatnym?...

Około ósmej cały personel apteki był już na nogach. Na stoliku w materialni kipiał samowar. Pomocnicy w milczeniu zapijali herbatę wraz z uczniami, paląc papierosy i rzucając półsłówkami. Służący wynosili pościel dyżurnego i porządkowali gabinet i laboratorium. Od czasu do czasu skrzypiały drzwi od ulicy – wówczas jeden ze śniadających zrywał się od herbaty z kawałkiem bułki w ustach i... „załatwiał interesanta”...

– Podły dyżur! – mruzczał Pracki. – W nocy było cicho, ale od samego rana istne piekło. Dwa infusa, dekokt i emulsja z *semen cannabis*!

– Przyjemne! – dorzucił Werda.

– Co tam! – mówił Werbel. – Ale ja dziś w laboratorium mam orkę! Opodeldok! Nienawidzę tej roboty! Stary dusi! Akurat mi wypadło na wychodnię. I jeszcze *diachilum* mam do malaksowania!

– Weź *puera*!

– Masz rację, Michałku – potwierdził Werbel, spoglądając aa Władysława.

Wtem drzwi apteki otwarły się z niezwykłym łoskotem. Smaczyński wychylił się spoza stołu, zerknął do apteki i wyszeptał uroczyście:

– Panowie, stary!

W sąsiednim gabinecie dało się słyszeć chrząknięcie, przyśpieszone kroki, w końcu w materialni zjawił się drugi współwłaściciel oficyny, pan Konstanty Miłecki.

Pracujący powstali na powitanie pryncypała.

– Dzień dobry! – zaczął niepewnym dyszkantem Miłecki.

– Jaki tu dym!... A... pan Władysław! To bardzo dobrze. Cóż, powiedzieli panowie już, co pan Władysław ma robić?

– Jeszcze nie! – odparł Werda.

– Obcierałem aptekę – dodał śmiało Władysław.

– Tak, tak! Dobrze, bardzo dobrze. Tylko aptekę trzeba obcierać starannie!... Pana Władysława należy zająć... Może pan Smaczyński pokaże panu, gdzie stoją wody... następnie trzeba odrobić zaległe fasunki...

– Mam *emplastrum plumbi* do... malaksowania – wtrącił Werbel.

– *Diachilum*? Tak, bardzo dobrze!... Niech tylko pan Władysław uważa, panie, i... tego... Tak, tak! Panie Werda, jest tam co pilnego?...

– Owszem! *Talcum*, *acidum hydrochloratum purum* i *spiritus vini* są na defekcie od wczoraj.

– Trzeba napisać zapotrzebowanie do składu. Tak! Ale niech panowie będą łaskawi *spiritus* na noc zamykać do szafki, bo tyrani pewno wypijają...

– Zamykamy, a jakże! – odrzekł Pracki.

– Tak? To dziwne. Bardzo! Bo *spiritus* się widocznie ulatnia. Ja, broń Boże, nie mówię, żeby panowie... proszę, niech panowie do obiadu... tego... *aqua vitae*... i owszem, tylko wysycha, wysycha!...

Zjawienie się interesanta z receptą przerwało rozmowę z pryncypałem. Pracujący rozeszli się do swoich zajęć. Werda zasiadł na wysuniętej szufladzie przy aptecznym pulpicie do pisania sygnatur i sprawdzania lekarstw. Pracki ulokował się w „łóży” oszklonej i zabrał się do

wykonywania pisanych hieroglifami recept. Werbel zajął się opodeldokiem w laboratorium, Miłecki zaś rozsiadł się w gabinecie.

Smaczyński z Władysławem zeszli do piwnicy, do której wejście było ukryte za szafami pryncypałów w gabinecie.

Piwnice apteki Gędźby i Miłeckiego, dosyć widne i obszerne, składały się z trzech izb. W dwóch pierwszych porozstawiane na poprzegradzanych półkach stały syfony, butelki i kamionki z wodami mineralnymi, kefirem i kilkunastu flaszkami win leczniczych – w trzeciej izbie, na klucz zamkniętej, lokowały się zapasowe tynktury, oleje, maście, kwasy, etery, spirytusy.

Informacje Smaczyński rozpoczął od uderzenia Władysława po przyjacielsku... w kark, po czym, spoglądając z całym poczuciem swej wyższości na nowicjusza, jął recytować:

– Proszę uważać! Tu stoją wody sztuczne w syfonach i odrutowanych butelkach: sodowa, selcerska, Vichy Celestin, Vichy Grand Grille, Ems Kraenchen, Kissingen, Rakoczy... limoniada magnezjowa... Jak pan raz i drugi się naszukasz, to pan trzeci raz znajdziesz! Tutaj są kartki zapasowe z napisami i klajster w kubku!... U nas wody żadnej nigdy nie może zabraknąć! Rozumiecie?...

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste! Co drugi dzień przyjeżdża furgon z wodami sztucznymi z fabryki. Pan daje mu zamówienie w miarę potrzeby. Później pan wymiarkuje, której wody więcej idzie. Ale, przypuśćmy, jest nagle moc amatorów na Vichy i naraz zabrakło... posłać nie można!... Więc... zeszkrobuję pan kartkę z selcerskiej wody i nalepia pan kartkę od Vichy!... Cała filozofia. Byleby był niebieski syfon!

– Ależ to chyba nie wszystko jedno?...

– Zapewne. Lecz przynajmniej apteki się nie dyskredytuje! W aptece nie może niczego braknąć. A przecież selcerska nikomu nie zaszkodzi! Tu gaz i tu gaz! No, idźmy dalej. Teraz ma pan wody naturalne: Karisbad Mühibrunn, Karlsbad Schlossbrunn, znów Vichy dwa rodzaje, Ems w kamionkach, Krynica, Iwonicz, Levico w tych niebieskich flaszkach, Roncegno w takich samych, tylko białych, Victoria, Hunyada, Franciszek-Józef, Franzensbad, Szczawnica...

Władysław, postępując za Smaczyńskim, potknął się o bezkształtną kupę ziemi.

– Powoli, ostrożnie! – upominał starszy uczeń. – Marnujesz pan szlam ciechociński.

– To jest szlam ciechociński? Przecież w nim więcej kurzu i śmieci niż...

– Zawracanie! To jest, proszę was, byczy szlam! Jak byłem w Lubkowie u Tabaczkiewicza, tośmy sami robili szlam ciechociński... Brało się trochę *sal marinum*... soli morskiej albo... kuchennej ze sklepiku, dodawało się piasku, błota lubkowskiego i był ci taki paradny szlam, że aż o trzy mile do nas jeździli po ten rarytas!

– To pan nie od początku praktyki był tutaj?...

– Gdzie tam! Mordowałem się przez półtora roku z Tabaczkiewiczem. Łajdak był, wyzyskiwacz! Pan masz szczęście, żeś do Warszawy trafił! No... zapalmy sobie! Siadaj pan tutaj na Skrzynce i pogadamy. Pokazywać tu nie ma więcej co... a tam niech starzy myślą, że się pan obznajmia! Dziś kolejka Miłeckiego: wściubinos to także, ale mniejszy od Gędźby. Do piwnicy nawet nie zajrzy.

– Pan mówi „kolejka”?...

– Jest ich przecie dwóch, więc jeden z nich świętuje, a drugi siedzi w budzie! Z tego zawrót głowy. Jeden chce tak, drugi siak, jednemu inaczej trzeba i drugiemu inaczej!

– A który lepszy?

– Lepszy?! Obydwaj smolą. Ja wolę Miłeckiego, bo nie taki fałszywy, bo ten Edzio to słodki z pozoru... Widziałeś pan, jak on ciągle dolną wargę wysuwa?... Miałem z nim już hecę. Posłałem tyrana po destylatę do piwnicy: łajdak nalał zamiast wody alkoholu do aptecznego sztanglasa... Robili recepty i zamiast wody leli alkohol... Może by uszło, ale było ci jedno

szprycowanie... Jak ci facet wpadnie do apteki i zaczniesz wymyślać! Awantura! Starzy do mnie z gębą. A to wszystkiego tyran narobił. Skończyło się na strachu, bo w pismach nic o tym nie było, a mogła być heca z urzędem lekarskim! Ale chodźmy na górę, bo i tak zasiedzieliśmy się porządnie...

Na górce czekała już na Władysława pierwsza robota. Na stole w laboratorium leżały wyciążone szuflady apteczne, zawierające resztki rozważonych w papierkach „groszówek” do odręcznej sprzedaży. Należało je nafasować, czyli napęczyć.

Wysłuchał więc młody praktykant wykładu pana Werdy na temat, że *kali chloricum* zawija się w kapsułki, ważąc po trzy drachmy za dziesiątkę i po sześć drachm za dziesięć kopiejek, boraks po pół uncji za dyskę, a *magnesia sulfurica*, gorzką sól, wprost się nasypuje, bo tania.

Władysław w myśl polecenia zabrał się przede wszystkim do *kali chloricum*. Lecz sól Bertholleta zwarła się w bezkształtne, twarde bryły, trzeba ją było przede wszystkim na proszek zetrzeć. Wziął więc *puer* duży moździerz porcelanowy i z całą energią nie znającego niebezpieczeństwa młodzieńca zaczął rozbijać bryłkę *kali chloricum*.

Sól Bertholleta była dobrze wysuszona w słoju, pod uderzeniem pistla zatrzeszczała, rozpadła się w drobne kawałki, wreszcie eksplodowała w górę czerwonym płomieniem, parząc boleśnie ręce Władysława i osmalając mu twarz.

Wybuch *kali chloricum*, wywołał popłoch. Służący rzucili się do stłumienia ognia, pomocnicy zaordynowali syczącemu z bólu uczniowi okłady z wody wapiennej i lnianego oleju, pan Miłeckci miał przemowę do pracowników na temat nieostrożności i braku pouczenia Władysława o niebezpieczeństwie. Przemowa była o tyle serdeczna, o ile wartość spalonej soli Bertholleta niewielka.

W pół godziny później młody praktykant fasował dalej nieszczęsne *kali chloricum*, a następnie i boraks, i sól glauberską, i alun, i karmin, i proszek troisty, i próchno. Szuflad pustych przybywało. Po proszkach zjawiała się seria plastrów, które z długich, cienkich wałków należało dzielić na kawałki odpowiedniej wagi i zawijać w papier woskowany. I w dalszym ciągu za plastrami przyszło nakładanie maści szpadlem stalowym w małe, drewniane pudełeczka. Robota się waliła na Władysława, objaśnienia sypały jedne za drugimi z taką szybkością, że nie mógł się chwilami zorientować w tej powodzi obcych mu dźwięków, bo nie był przyzwyczajony do aptecznego żargonu, który mu kazał zastanawiać się nad pewnymi wyrażeniami i określeniami.

Czas do obiadu upłynął szybko. Około godziny trzeciej we drzwiach laboratorium zabręczały składane piramidalnie menażki i zjawiała się krępa, pyzata Marysia z obiadem od pani Miłeckiej dla „pana ucznia”. Posiłek był suty i zawieszony, nadspodziewanie odpowiadający wilczemu apetytowi Władysława, ale... nie było kiedy go skosztować, bo zanim młody praktykant zdążył zanurzyć łyżkę w zupie, wysłano go do piwnicy po butelki z wodą mineralną. Podczas sztuki mięsa Werda objaśniał Władysławowi sztukę nastawiania *infusum*, a na pieczyście trafiła emulsja migdałowa, a z nią nowy wykład pogładowy. Władysław nie był w tym wypadku wyjątkiem. Pomocnicy spożywali przynieszone im kolejno w menażkach obiady z restauracji i z domów prywatnych częściowo, dorywczo, niekiedy z receptą w rękę.

Po południu ruch w aptece się zwiększył. Roboty w laboratorium i fasunki uległy przerwie do dnia następnego i cały personel, z wyjątkiem wychodzącego Werbla, zajęty był ekspedycją. Władysław był w ciągłym ruchu, w jaki go wprowadzały ustawiczne nawoływania i komendy:

– Panie Władysławie, syfon Ems z piwnicy! Panie Władysławie, flaszkę czterouncjową! Panie Władysławie, proszę zapamiętać, tu stoi spirytus mrówczany! Tak się obwiązuje flaszkę!... Proszę zapalić maszynkę! Moździerz czysty! Niech . pan „wygładzi” kapsułki z proszkami! Wymyć słoiki! Dwa pudełka do maści!... Jeszcze pan nie wie? Gazy w oknach! Niech pan obetrze łożę!...

I biegał pan Władysław z apteki do materialni, z materialni do piwnic, z piwnic do laboratorium. Zgrzany, zziajany, rozczerveniony, nie ustawał, chcąc wszystkich zadowolić, każdemu usłużyć i jak najprędzej... się nauczyć. Czuł, że mu chwilami w głowie się kręci od naprężenia uwagi, a nogi odmawiają posłuszeństwa, każde atoli nowe polecenie było dlań bodźcem: przecież powiedziano mu wyraźnie, że gdyby okazał się nieodpowiednim... będzie w ciągu tygodnia usunięty! I bał się jak ognia tego ultimatum, całą inteligencję i siły fizyczne skupiał, byle się stać użytecznym...

Smaczyński, zajęty już recepturą, patrząc na swego młodszego kolegę podrwiwał sobie z niego, nie szczędząc mu przy każdej sposobności złośliwych uwag. Szept Smaczyńskiego dochodził do uszu Werdy, a ten wówczas uśmiechał się z politowaniem.

Jeden Pracki, widząc ochotę Władysława, pocieszył go słowami:

– Dobrze, *puer!* Nic! Widzicie, sezon jest, ludziska wynoszą się na tamten świat na potęgę! Teraz cicho, a później się nie dasz!

Turkowski upatrzył wolną chwilę, gdy Pracki mył zapamiętałe flaszki przy zlewie, i chciał zagadać do niego. Cały dzień nie miał do kogo ust otworzyć. Ale pan Kazimierz ramionami ruszył, głową wstrząsnął i do apteki poszedł. Był zły. Pracki miał opinię dobrego farmaceuty; jak przyszła robota, stał kamieniem w łoży, a taka go przy tym pasja i złość ogarniały, że zdawać się mogło, że ten człowiek preparuje trucizny dla siebie i całego świata.

Nad wieczorem w aptece zjawiła się pani Miłeczka, pulchna mieszcza o twarzy nalanej, bezmyślnej, płowych włosach, z grymasem znudzenia na ustach. Pryncypałowa skinęła protekcyjnie głową schylonym głowom farmaceutów i powitała męża pytającym spojrzeniem. Jednocześnie prawie Smaczyński mruknął do Prackiego:

– Jak Boga kocham, idą do teatru!

– Eet! Opowiadanie! – szepnął przez zęby pan Kazimierz.

– Słowo daję! Ma lornetkę!

– Prawda!

Lotem błyskawicy wieść, że stary idzie do teatru, rozniosła się po wszystkich ubikacjach oficyny, wywołując z piersi pracujących dziwne i niezrozumiałe westchnienie ulgi.

Przewidywania Smaczyńskiego się sprawdziły. Miłeczki przywitał się z żoną, zmienił w gabinecie tużerek, ręce wymył i, wydawszy kilka rozporządzeń Werdzie, dotyczących się wysyłki lekarstw dla „Przytułku”, wyszedł razem z żoną.

Władysław dowiedziawszy się o wybieraniu się „starego” do teatru nie zdawał sobie sprawy, by go to tak dalece interesować mogło. Jemu było wszystko jedno! Ale gdy się drzwi za Miłeckim zamknęły, dopiero poznał całą doniosłość wydarzenia.

Przede wszystkim Smaczyński wybiegł w podskokach z apteki do materialni i chwytając Józefa oburącz za ramiona, wrzasnął mu nad uchem:

– Tyran! Dwie butelki piwa!

Pracki wyekspediował zaczęte proszki i powlókł się za Smaczyńskim, przywołał z kolei drugiego służącego, Wojciecha, i dał mu kartkę z kabalistycznym napisem: „Przyłazić na chinę”, polecając odnieść ją do sąsiedniego domu.

W aptece zapanowało ogólne rozprężenie. Smaczyński z Prackim zaczęli opowiadać sobie anegdoty; Werda kłął, przekomarzał się z interesantami i załatwiał ich byle prędzej; Władysław, oparty w łoży, zamyślił się, porzucony przez komendę.

Na szczęście napływ recept ustął; były tam jeszcze do zrobienia jakieś czopki czy pigułki; ponieważ jednak Pracki i Smaczyński wypowiedzieli posłuszeństwo, więc i Werda umieścił receptę pod przyciskiem i wykrzykując: „A niech sobie... leżą!” – rozsiadł się w materialni.

– Nie irytuj się, Zimorodku – zaczął Pracki. – Chcesz machać czopki, to machaj, a mnie daj spokój! Naorałem się jak koń!... Zresztą zapędź do roboty Grzebałę; po co tu siedzi?

– Tak, Grzebałę! – oponował Smaczyński. – Akurat, ledwie się ruszać mogę. Jutro się zrobi. To dla tego... radcy. Diabli go nie wezmą, a nawet służąca dziś nie przyjdzie, ona już wie!

– Hml – rzekł Werda. – To i dobrze!... Dzisiaj Werbel dyżuruje, niech ma na jutro czopki. Ale ja mam jeszcze robotę! Obiecałem jednej facetce znajomej pudru zrobić! Panie Władysławie, chodź pan, nauczysz się pan robić puder!...

Władysław poszedł za Werda do laboratorium, gdzie starszy pomocnik zasadził go do mieszania różnych proszków i zapachów w wielkim porcelanowym moździerz, a następnie polecił przecierać mieszaninę przez jedwabne sita.

Zanim blejwajs pokumał się z cynkwajsem i wonnymi olejkami, a w następstwie połączył się z talkiem, magnezją paloną i krochmalem, Werda przygotował zamaszyste, ozdobne pudło i stos pstrych wstążeczek i papierków dla spowinięcia swego wonnego daru, mogącego, mówiąc nawiasem, wystarczyć na sute otynkowanie trzypiętrowej kamienicy.

Po ukończeniu pracy nad dotrzymaniem obietnicy, danej przez Werdę, Władysław poszedł do materialni, w której akurat zjawiała się już Marysia z kolacją.

W materialni panował gwar, hałas i zamieszanie. Prócz pomocników, Smaczyńskiego i Marysi, rozstawiającej menażki dla Władysława, na wysuniętych szufladach siedziało dwóch obcych jegomościów z wygolonymi twarzami. Jeden z nich, starszy i nadmiernie otyły, sapał i śmiał się chropowato; drugi niemniej był w wesołym usposobieniu, nie gorszym wreszcie od nastroju farmaceutów.

Ukazanie się Władysława spotęgowało gwar.

– Patrzcie, *puer*! Jak on wygląda! – pisał Smaczyński

– Cóż pan od młynarza uciekł? – pytał Pracki.

– Władysław spojrział na ubranie – był cały ubielony pudrem.

– Głupstwo! – zakonkludował pan Kazimierz, popijając piwo. – Panowie pozwolą sobie przedstawić naszego *puera*... Panowie Floger i Strzyżewski... – prezentował Władysława Pracki.

Władysław przywitał się uprzejmie i zabierał się do zastawionej przez Marysię kolacji.

– Ho! Ale ta panienka jak rzepa! Skaranie boskie! Słowo daję – zaczął krzykliwie Floger, ciągnąc Marysię za rękaw.

– Cóż bo, panowie! Eee! – chichotała służąca.

– Jak ci nasz kochany artysta mówi, że rzepa, to święte – perorował Pracki.

– A czy to drogi materiał? – pytał filuternie Strzyżewski, skubiąc Marysię.

– Chłopcy, nie bałamucić mi dziewczyny; ona się we mnie kocha! – wołał rozbawiony Pracki.

– E! Bo, panowie! – krzyknęła zarumieniona Marysia, silnym ruchem zdrowej dziewczyny uwolniła się od natarczywości zebranych i uciekając do laboratorium, zawołała rozbawiona:

– Jednego kocham, a którego... nie powiem...

– Idź na zbity łeb! – warknął przez zęby Werda, zatraskując drzwi za służącą. – Pracki ma zawsze fioła! Tłumek taki gotów jeszcze wypaplać co starej i będzie kram!

– Śmiej się z tego! – dorzucił drugi pomocnik.

– Przepraszam magistra – zwrócił się Floger do Władysława, przypatrując się uważnie zawartości menażek – to.. to magister jada królewskie kolacje!... Befsztyczek i dwa kotleciki! Bogato! Akurat napiłbym się chiny...

– Dajcie spokój! – przerwał Werda. – Na co będziemy *puera* objadać! Ma kolację, bo mu stary daje „życie”; nam już ono bokiem wylazło! Czekaście, posłaliśmy po szynkę i serdelian-sy... zaraz będą.

– Ależ, panowie – zaczął nieśmiało Władysław, podsuwając menażki – dla mnie i tak za dużo tego! Proszę bardzo. Zrobicie mi prawdziwą przyjemność!...

– Cóż znowu! – oponował Pracki.

– A ja powiadam, że kiedy magister, panie, zaprasza... dawać chiny... i jazda! – przekonywał Floger, świdrując maleńkimi oczkami befsztyk i dwa kotleciki.



– No! Niech i tak będzie. Puer dostanie za to naszej szynki i serdeliansów! – zawyrokował Pracki. – Smaczyński syp aquavitę!

– A jaką? – pytał starszy uczeń.

– *Tinctura corticis aurantiorum, chinae compositae* i parę kropli *vanillae* – dyktował poważnie Werda.

– Żeby oko zbieleło! – zakończył Pracki. – A dajcie słoiki!

Po chwili w materialni zjawiała się flaszka aromatycznej, prawdziwej aptekarskiej wódki i kilka słoików. Zebrani żwawo zabrali się do picia i jedzenia, dzieląc się skwapliwie kolacją Władysława i konsumując przyniesioną Szynkę, serdelki i pieczywo.

Młody praktykant, utraktowany wódką, wypił odważnie dwa ogromne słoiki „chiny”, a choć czuł do niej odrazę, wstręt nawet, uczynił to z niekłamanym zadowoleniem, ciesząc się z koleżeńskiego traktowania. Wódka zakręciła mu nieco w głowie i zaostriżyła apetyt, zapychał się więc chlebem i bułkami, nie bardzo mogąc się docisnąć do kawałków befsztyka, kotletów i wędlin.

Po dwóch kolejkach ożywienie wśród wesołej kompanii spotęgowało się. Smaczyński rozbawiony dorabiał wódkę, dolewał gościom i od czasu do czasu wybiegał do apteki dla zataśnienia interesanta.

Pracki zadysponował tymczasem kilka butelek piwa, a że faktycznie słabą miał głowę, wpadł w pewnego rodzaju tkliwe rozmarzenie.

– Dyrektorze! – szeptał, ciągnąc opasłego Flogera za poję surduta. – Ja się kocham! Wasza Kirszenmanka mnie wzięła! Mówiłeś jej... mówiłeś? Gadaj!

– Słowo daję! Niech zdechnę! Strzyżeczki świadkiem! Dziś gadałem. Podoba mi się... mówi... miły, tego...

– Czy to prawda – pytał Pracki – że ona z jakimś naczelnikiem?...

– Oo! Chciałbyś, magister, żeby kradła czy co? Napijmy się chiny!

– Sypać! – krzyknął Pracki. – Panowie, ja się kocham! I ta albo żadna!

– Kazik fermentuje! – zaśmiał się cicho Werda, któremu na wyżółkłą twarz wystąpiły chorobliwe wypieki.

– Musi pan przyjść kiedy do nas za kulisy – namawiał Werde Strzyżeczki – tylko jak będzie operetka... wówczas baletu moc, naśmiać się można.

– Ale, magistrze! Słuchaj! Dajże mi odrobinę wody kolońskiej i jakich perfum... Czekaj no! Aha! Majczyńska prosiła o chinową pomadę, a Kropkowski o plaster na odciski!

– Floger – szeplecił Pracki – ja cię kocham! Chcesz czego, to gadaj puerowi. *Puer!* Słyszysz?... Pan dyrektor chce pomady!... Dać mu! Smaczyński! Niech dyrektor cały teatr uperfumuje... dać mu! No, piwa! Nasze kawalerskie!...

– Kazimierza wzięło – zauważył Strzyżeczki, zwracając się do Werdy – gdyby tak jednak dla mnie można spore pudełko proszku do zębów i eliksiru! O, ja zapłacę! Nie śmiałbym! Cóż znowu!

– Proszę pana! To przecież głupstwo! Panie Smaczyński, dajcie tam dla tenora butlę eliksiru i *pulvis dentifricus!*...

Smaczyński zabrał się do przygotowywania prezentów dla Flogera i Strzyżeczkiego.

We drzwiach do laboratorium ukazała się rozczochrana głowa służącego Wojciecha.

– Czego chcesz? – zapytał niechętnie Werda.

– A to... proszę panów, zdałoby się nam trochę akwy na ten przykład!...

– Nie ma! Iść do licha! – bełkotał wółprzymotny Pracki. – Czego się tyranom zachciewa! Stary zakazał! Spirytus wysycha, i już!...

– Idź do pana Smaczyńskiego, powiedz, że kazałem... – odrzekł Wojciechowi Werda.

A gdy służący wyszedł do apteki, zwrócił się z perswazją do Prackiego:

– Wstawiliście się i gadacie! Dać im trzeba, żeby plotek nie było!...

Wreszcie piwo było wypite, prezenty dla gości gotowe, a główny aranżer zebrania niepo-  
czytalny... Floger i Strzyżecki zaczęli się żegnać.

– Bóg wam zapłać, magistry! Ubawiliśmy się! Przyłażcie do nas za kulisy! Nie kupujcie  
aby biletów, pošlijcie do mnie kartkę przez woźnego, już ja was wtrynię na darmochę, choćby  
na prasowe krzesła – mówił Floger.

– Naturalnie! Naturalnie! – potakiwał Strzyżecki. – Prosimy bardzo! Panie Kazimierzu,  
niechże pan pamięta o Kirszenmance!

– A zajdźcie znów na chinę!

– Zgoda! Byleśmy trafili w porę!

– Już my wam damy znać!...

– Jutro i pojutrze występujemy, więc chyba w sobotę!...

– Wybornie, bo starzy mają posiedzenie w towarzystwie farmaków!

Po wyjściu Flogera i Strzyżeckiego zaległa na chwilę cisza w aptece. Pierwszy przerwał ją  
Werda:

– Pracki! Idź spać!

– Spać?... Pójdę!... Ale Kirszenmankę kocham!...

– Dobrze, dobrze! Tylko wynoś się do łóżka!

– Ale dziś była frajda, jakiej dawno nie pamiętam! – zauważył Smaczyński.

– Jest tam co do roboty? – pytał Werda, nie odpowiadając na uwagę starszego ucznia.

– Aż cztery recepty odprawiłem do jutra!...

– To i dobrze. Co to? Już jedenasta godzina? Tyran, murować! Panie Smaczyński, dodajcie  
książki i przynieście mi kluczyk od kasy.

W kilkanaście minut później oficyna spoczywała twardym snem ludzi zmęczonych pracą i  
odurzonych trunkami. Jeden Władysław, mimo silnego zmęczenia, długo musiał walczyć z  
bezsensownością. Powietrze materialni, przesiąknięte dzisiaj dymem tytoniowym, dusiło go.  
*Aqua vitae* w głowie szumiała, a na domiar Werbel poszedł na dyżur nie sam... i do późnej  
nocy prowadził jedną z takich konwersacji, jakie wstręt i odrazę budzić tylko mogły w nie  
zepsutej, uczciwej naturze Władysława.

## Puer

I rozpoczęły się dla Władysława dni ciężkiej, zmudnej pracy, dni szarego życia, na pozór tak ludzaco do siebie podobne, a jednak tak odrębne w szczegółach, w troskach i przykrościach. Był uznany za zdolnego ucznia, wiadomości w lot chwytał, orientował się szybko. Jego zapalny entuzjastyczny charakter niewolił go do zajęcia się apteką z całą gorliwością, z całą energią nie zużytego organizmu. Aż raptem ostygł – farmacja wydała mu się przykrym i niewdzięcznym obowiązkiem, apteka przekleństwem nieubłaganym, które zaciążyło nad jego przyszłością.

Pół roku minęło od czasu wstąpienia Turkowskiego do apteki, a już pod każdym względem był pożytecznym pomocnikiem. Chciwy wiedzy, ciekawy, póty ślęczał wieczorami nad farmakopeą, nad nomenklaturą, póki nie przetrawił kunsztu aptekarskiego i nie poznał jego tajników. Wiedza Władysława nie była gruntowną, wyrozumowaną, ale nie ustępowała zbyt wiele wiadomościom pomocników firmy „Gędźba & Miłecki”. Poza farmacją Władysław czytał nocami bardzo wiele, może bez wyboru, ładu i składu, lecz czytał, a tym samym uosabiał potężnie większą sumę ogólnej wiedzy niż jego bezpośredni zwierzchnicy. Dziwny bo między Władysławem i nimi wytworzył się stosunek. Pomocnicy radzi korzystali na każdym kroku z obznajmienia się Władysława z apteką, ale kiedy tylko ten miał okazję popisania się swoją sztuką przed pryncypałami, albo rozmyślnie powierzali mu podrzędne czynności, albo wyrażali mu głośno swoje niezadowolenie. Więc gdy Gędźby ani Miłeckiego nie było, Władysław załatwiał sprzedaż odręczną, przygotowywał lekarstwa, dyrygował w laboratorium, wpisywał do kontroli wydane recepty – słowem, każda robota była dlań odpowiednią i nigdy zbyt skomplikowaną.

Gdy atoli w aptece był obecny jeden ze współwłaścicieli, wówczas pomocnicy okazywali niebywałą gorliwość. Każde pudełeczko maści było kontrolowane, papierowa tutka z ziółkami rewidowana, a co już jakiegoś kwasu, narkotyku, alkaloidu – nawet tknąć nie było wolno Władysławowi.

Turkowski był rozgarniętym i przytomnym, trudno go było na pomyłce złapać. Niekiedy zwłaszcza Werda potrafił tego dokazać. Pewnego wieczora, gdy Miłecki siedział w gabinecie pomocnicy pili herbatę weszła do apteki biednie odziana starowina i od wybiegającego naprzeciw niej z materialni Władysława zażądała rumianku rzymskiego za trojaka. Turkowski zawahał się – najmniejsza doza rzymskiego rumianku kosztowała trzy kopiejki. Starowina jęła się trząść, wzdychać i tłumaczyć, że nie ma przy duszy ani grosza. Władysławowi żal się

zrobiło babiny. Nie namyślając się długo, nałożył jej całą rogówkę żądanych ziółek. Na to wszedł Werda, dopatrzwszy z daleka, że Władysław coś zbyt długo załatwia się z interesantką.

– Jak to? Co to? Czep? – pytał starszy pomocnik.

– Nic! Rumianek rzymski! – odparł niedbale Turkowski.

Werda wziął papierową torebkę, rozwinął, w rękę zważył i zagadnął:

– A za ile to?

– Za trojaka!

– Co? Za trojaka? Panie, dałeś pan za dziesiątkę! A przecież *flores chamomillae romanae* sprzedaje się tylko za sześć! Pan nie znasz taksy odręcznej! Do czego to podobne! Trzeba się pytać!

Wykrzykniki Werdy zwabiły z gabinetu Miłeckiego. Pryncypał, wysłuchawszy zarzutów Werdy, uważał za właściwe dać moralną naukę uczniowi.

– Panie Władysławie! Jak pan będziesz tak lekceważył naukę, to my bez butów wyjdziemy! Któż to słyszał!!! *Flores chamomillae romanae* za trzy grosze. Bo też panowie... tego... nie powinni jeszcze dopuszczać pana... tego... do sprzedaży!!!

– Ależ, proszę pana, ja... – próbował usprawiedliwić się Władysław.

– Nie tłumacz się pan! – przerwał Miłecki. – Jest... źle... tego... Źle jest...

Werda tymczasem oświadczył ostro starowinie, że ziółek dostanie tylko za szóstkę. Baba spojrziała. na Werde, pachnęła groźnie kosturkiem i, zakławszy, trzasnęła drzwiami.

Turkowski był po tym zajściu wzburzony. Widział w zachowaniu się Werdy oczywistą chęć dokuczenia czy podchlebiania się pryncypałowi. Bo czyż Werda, który wynosił z apteki pudła kosmetyków i lekarstw dla znajomych, miał prawo udawać taką drobiazgowość? Przy tym Władysław czuł się skompromitowany wobec tej kobieciny. Nie powinien być dopuszczanym do sprzedaży! Przecież on już pigułki i *globulae* ekspediował sam!

Młody praktykant postanowił dosłownie traktować uwagi Miłeckiego i kiedy ten wyszedł, a Werda rozsiadłszy się przy pulpicie polecił mu sprzedaż odręczną załatwiać, zaciął się i odmówił posłuszeństwa. Na drugi dzień rano Werda wytoczył sprawę przed Gęźbą. Turkowski znów dostał nauczkę, a na domiar wszystkiego opatrzoną uwagą, że... zaczyna się psuć, co zresztą nie jest nic dziwnego, bo młodzież aptekarska jest z gruntu zdemoralizowaną.

Władysław pohamował wzburzenie przekonawszy się, że każda jego żywsza odpowiedź, śmielsze tłumaczenie może postawić kwestię „być albo nie być” na ostrzu noża.

Pryncypałowie uznawali prawo silniejszego, uczeń przeto nie mógł mieć racji wobec pomocnika. W myśl tej potężnej zasady Turkowski im lepiej się obznajmiał z apteką, tym więcej doznawał przykrości

Werbel był typem przedwcześnie zawiądnętego młodzieńca, Zgarbiony, włóczący lewą nogą, z oczyma matowymi, z ustami na wpół rozchylonymi, uosabiał bezmyślną, tępą organizację.

Powierzchnowość w zupełności odpowiadała rzeczywistości. usposobieniu. Zawsze roz-targniony, powolny, a nieuważny popełniał tysiące błędów, psuł materiały, a co najważniejsza w życiu farmackim... tłukł naczynia...

Pryncypałowie, zachowując pozorne ćwierćkoleżeństwo względem pomocników, nie śmieli czasami wprost wyrazić im swego niezadowolenia i używali do tego Władysława. Dlatego też apteka była niekiedy świadkiem takich rozmów:

– Panie Władysławie

– Słucham pana!

– Muszę panu zwrócić uwagę, że do pana za często goście przychodzą!...

– Kiedy, proszę pana prócz wuja, który bywa raz na dwa tygodnie... nikt do mnie nie przychodzi!

– To nic! Ale pan będzie łaskaw sobie zapamiętać, iż apteka nie może służyć za salon do przyjmowania gości. Po zamknięciu trzeba się położyć spać!... a nie markować do świtu!...

Albo:

– Panie Władysławie, czy pan sprzedawał wodę kolońską?

– Nie, nie sprzedawałem!

– Co się to dzieje z wodą? W książce nie ma zapisanej ani jednej flaszki sprzedanej... Dziwna rzecz!... Wiem, że *spiritus coloniensis* się ulatnia, lecz żeby się ulatniał hermetycznie zapieczętowany i w dodatku z flaszkami, o tym nie słyszałem!

Turkowski otrząskany powoli z podobnymi przemówieniami pryncypałów wzruszał ramionami i nawet nie próbował oponować. Niech sobie gadają!

Władysław nie był przystojny, miał atoli w sobie coś ujmującego, coś sympatycznego, co razem z wrodzoną mu grzecznością i uprzejmością jednało ogromnie kupujących. Obejście się Turkowskiego tym bardziej odbijało w aptece Gędźby i Miłeckiego, że Werda był z natury opryskliwym, Pracki rubasznym, a Smaczyński drwiąco-zimnym. Publiczność wkrótce upodobała sobie bardzo Władysława. Z każdym dniem przybywało mu życzliwych, którzy zazwyczaj swoje względy tym objawiali, że gdy kto inny chciał ich załatwić, wzbranił się:

– Gdzie jest ten młody pan?

– To tylko ten młody prowizor wie!

– Mam interes do tego pana!

Ze swej strony Turkowski nauczył się wkrótce rozróżniać klientelę apteki. Znał niemal na pamięć wszystkie służące, lokajów, panów i panie. Miał między nimi swoje większe i mniejsze sympatie.

Podobała się grzeczność Władysława pryncypałom, choć tego nie objawiali, podobała się pomocnikom, bo zmniejszała im robotę. Niekiedy zdarzało się inaczej, zwłaszcza gdy nie było pryncypałów. W aptecę, przypuśćmy, zjawiła się zgrabna, młoda pokojówka i na zapytanie podochoconego Werdy, czego by sobie życzyła, zwracała się płochliwie w stronę Władysława. Starszy pomocnik zazwyczaj burzył się, iż *puera* przekładają ponad niego, i uważał za właściwe okazać swoją wyższość, głos podnosił i komenderował:

– Panie Władysławie! Marsz do piwnicy! Syfon sodowej?

Turkowski czerwieniał się, niekiedy stawiał się hardo:

– Nie pójdę! Nie mam dla kogo! Wprzód załatwię!

– Nic pan nie załatwisz! Pańska rzecz syfony nosić... ja każę!...

Po takim zajściu, zdaje się, że Werda wcale nie zyskiwał w oczach przystojnej klientki, która najczęściej przy pierwszej okazji spieszyła tym silniej zaakcentować swoją sympatię dla Władysława. Niemniej miłość własna młodego farmaceuty cierpiała bardzo. Dławił w sobie złość, gniew, oburzenie, ale dość było nań spojrzeć niekiedy, by się przekonać, ile go to kosztowało siły woli i samozaparcia.

Jeszcze gdy takie zajście wynikło wobec obcych, znosił je mężnie. Co mu tam! Skończyć się to chyba raz musi! Nikt go nie zna! Lecz bywało, że świadkiem niehumoru pryncypała czy pomocnika był znajdujący się przypadkiem w aptecę jakiś daleki znajomy czy kolega gimnazjalny. Wtedy wrazenie się potęgowało. Ambicja upominała się o swoje prawa. Żeby zaciskał i wybiegał z apteki, by ukryć łzy, jakie mu się do oczu cisnęły.

Raz na tydzień, we środy, od południa miał Władysław wychodnię, czyli pół dnia wypożyczku. Wychodnie popołudniowe, według przyjętych w aptecę Gędźby i Miłeckiego zwyczajów, zaczynały się od godziny drugiej, ale Turkowski zaledwie około czwartej mógł się wydostać ze swego deptaka. Przed wychodnią musiał pokończyć fasunki, nastawiać w aptecę syfonów, kefiru, butelek z limoniadą, aby, broń Boże, czegokolwiek nie zabrakło pomocnikom w czasie jego nieobecności. Gdy biła godzina druga we środę, Władysława ogarniało jakieś drzenie nerwowe, rwał się do swobody, do wolnego czasu, a tu przetrzymywano go, w ostatniej chwili zasadzano do żmudnej roboty, a żegnano w końcu ironicznym: „Tak panu pilno lecieć? Gotów pan nie wiem co zrobić, byle już uciec!...”

Jemu było pilno... do światła, do powietrza, do ludzi. Wszak cały tydzień pracował – należał mu się chyba wypoczynek.

Miał przecież lat siedemnaście – zbyt wcześnie żądano, aby cenił żelazne pęta obowiązku! A wreszcie ta wychodnia, ten wypoczynek, ta chwilowa swoboda była parodią zaledwie wy-  
tchnienia!

Wychodził z apteki o czwartej, uporządkowanie garderoby zajmowało pół godziny. I punktualnie o wpół do piątej we środę stawał Władysław przed apteką, onieśmielony panującym na ulicy ruchem, życiem i zastanawiał się, dokąd iść. Szedł do wuja. Wizyta trwała do ósmej, niekiedy przeciągała się dłużej. A później, nie mając rodziny ani bliższych znajomych, chodził po ulicach, placach – czy deszcz, czy pogoda, byleby do apteki przed zamknięciem nie wrócić... bo mogliby go zaprosić do roboty, co parę razy się zdarzało. Turkowski próbował odnowić stosunki przyjazne z kolegami gimnazjalnymi – gdzie tam! Tak mało miał z nimi wspólnego! Zresztą oni, bezwiednie może, dawali mu uczuć swoją wyższość, podkreślając swoje szczytniejsze aspiracje niż aptekarstwo.

W końcu Władysław dałby wiele za to, żeby mógł swoją środę spędzić w swoim kącie z książką w ręku lub po prostu drzemiąc. Takiego kąta nie było, bo chociażby uzyskał pozwolenie pomocników na użytkowanie ich pokoiku, bez wątpienia wezwano by go do apteki... Wuj zaś mieszkanie miał szczupłe i kilkoro hałasującego wiecznie drobiazgu.

Pewnej środy Władysław spróbował szczęścia i poszedł do państwa Wądrawskich, rodziców swego kolegi, u których właśnie tyle błogich chwil spędził dzięki jej, Heli Walkiewicz. Spotkał go i tu zawód. Staś Wądrawski, który od dwóch lat chodził już do innego gimnazjum, przyjął Władysława oziębło, dziwiąc się obranemu zawodowi. Panna Zofia wręcz powiedziała mu, że słyszała, jakoby go wypędzili ze szkół i że to było powodem wstąpienia do apteki. A pan Wądrawski dosyć wyraźnie dał do zrozumienia farmaceutce, że gdy on zaczął już... żyć... Staś ma przed sobą długie lata nauki... pojedzie do instytutu inżynierów cywilnych – tymczasem o książce tylko wolno mu myśleć, przeto podtrzymywać stosunków z apteką... nie może...

Wobec takiego przyjęcia o Helę Władysław bał się zapytać. Do Wądrawskich więcej nie poszedł i jedyna nić, wiążąca go ze wspomnieniem pięknej Walkiewiczówny, została zerwana.

Turkowski powoli zaczął swoją wychodnię urozmaicać. Pozostawiony samemu sobie, bez opieki, bez jakiegokolwiek moralnego kierunku – szedł za popędem, instynktem czy przypadkiem.

Wizytę u wuja skracał do chwili otrzymania jakiego pieniężnego zasiłku na drobne wydatki, a później szedł do teatryku, gdzie za protekcją Flogera lub Strzyżeckiego wpuszczano go bezpłatnie, wchłaniał po kilka kufli piwa, dotrzymując kompanii *puerom* z innych aptek, z którymi zdążył się zapoznać, lub wprost szedł dla spotkania się z nimi do restauracyjki.

Zdarzyło się, iż pewnej środy kompania nie dopisała. Przedstawienie skończyło się wcześniej niż zwykle, Floger i Strzyżeczki siedzieli w obcym mu towarzystwie. Władysław wyszedł bezmyślnie na ulicę, nie wiedząc, co z ostatnią półgodziną do zamknięcia apteki zrobić. Na dworze było wilgotne, przejmujące powietrze. Młody farmaceuta czuł się znużonym; wiele by dał za to, gdyby mógł teraz już wypocząć. Wtem na skrawku wąskiej uliczki zarysowała się przed Władysławem niewyraźna sylwetka kobiety, a do uszu jego doszło przeciągłe, bezczelne: „chodź do mnie!” – i poszedł.

Poza środą Turkowski marzyć nie mógł o wolności. Niekiedy wymykał się po zamknięciu apteki, ale to zdarzało się dopiero w drugim półroczu, kiedy zapałał afektem do utrzymującej dystrybucję wdowy i gdy zdołał wśród pomocników wyrobić sobie pewną samodzielność.

W święta próbował niekiedy uwolnić się, motywując prośbę jakąś mniej więcej ważną uroczystością rodzinną – ale rzadko mu się to udawało. Pryncypałowie nie rozumieli, aby ucznia ciągnęło lato, aby poza określonym czasem mógł myśleć o wypoczynku.

Turkowski wyniósł z domu bardzo religijne zasady i miał szczerą ochotę uczęszczania do kościoła; pierwsze kroki w tym celu u chlebodawców trafiły na nieprzewyjężony opór,